

UWERTURA – SKORPION I KOBRA

1853 - Teheran

NADIR:

- Efendi, Nadir Chan... Chanum wzywa obu panów do seraju, natychmiast.

Przerażony młody służący powiedział to łamiącym się głosem. Podniósł wzrok i patrzył na nas w napięciu; zrozumiałem, że rozkazano mu czym prędzej wracać z odpowiedzią. Oczy Erika zwężyły się jak u dzikiego zwierzęcia. Zaplótł dłonie tak mocno, że przez skórę widać było ścięgna i kości.

- Przekaż proszę, że zaraz przyjdziemy – odpowiedziałem łagodząco, chociaż ze zdenerwowania poczułem pulsowanie krwi na skroniach. Erik milczał.

- Nie unikniemy tego – powiedziałem do niego, gdy posłaniec wyszedł. – Jeśli umiesz się modlić, módl się, żeby nie kazała cię zabić. Po co ją prowokowałeś?

Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale po sekundzie zacisnął je jeszcze mocniej i wzruszył ramionami. Miałem najgorsze przeczucia, chociaż nie umiałem ich sprecyzować. Ta kobieta była nieobliczalna, a on, w swojej samobójczej pysze, zaledwie parę dni wcześniej upokorzył ją przed jej własną służbą. Nie miałem dość wyobraźni, by próbować odgadnąć, jak zamierza go ukarać.

Starannie poprawiłem turban i wierzchnie okrycie. Erik nawet nie pofatygował się, by założyć nakrycie głowy; tak jak stał, sięgnął po wiszącą na haku pelerynę, w której zwykle występował przed szachem. Szliśmy w milczeniu przez pałacowe pawilony, aż do granic haremu. Już na pierwszy rzut oka nie wyglądało to dobrze. W przedsionku wychodzącym na wewnętrzny dziedziniec kłębił się tłum eunuchów, służących i niewolnic; szelest jedwabiu i ciche pobrzękiwanie biżuterii mieszały się ze stłumionymi szeptami. Kiedy weszliśmy, wszystko nagle ucichło. Uzbrojony odźwierny otworzył bogato zdobione sycerką drzwi prowadzące do dalszej części seraju.

Chanum postanowiła nie ograniczać się tym razem do swojego zwykłego sposobu udzielania audiencji z okratowanego okienka na górnym piętrze. Wparadowała szybkim krokiem do przedsionka, roztrącając służbę, która w pośpiechu starała się usunąć jej z drogi. Pomyślałem, że wpadła tutaj jak wielka pszczoła albo osa – nerwowo bzycząca, rozdrażniona i niebezpieczna. Jako wdowa ubrana była na biało, w haftowane złotem sięgające kostek spodnie i długi kaftan. Na to założyła obszerną, sięgającą do ziemi niebieską kamizelkę zwaną *yelek*, również bogato zdobioną. Misternie zaplecione włosy i większą część twarzy zakrywała półprzezroczysta granatowa chusta. Od niechcenia bawiła się szpicrutą.

Mimo dawno skończonych czterdziestu lat Mahd-e Olia była bardzo piękna - tym pięknem, które zamiast czułości wzbudza respekt i grozę. Za młodu zapewne ucieleśniała

bliskowschodni ideał urody, gdzie zawsze podobały się kobiety o jasnej skórze i pełnych kształtach. Z wiekiem cera matki szacha stała się oliwkowożłota, a figura nieco zeszczupiała. Krągłe niegdyś biodra i piersi nie budziły już skojarzeń ze słodczą macierzyństwa. Smągła, niezbyt wysoka, ale o dumnej, prostej jak struna postawie, chanum wciąż robiła wrażenie. Było to w sumie zrozumiałe, gdyż całe dni upływały jej na pielęgnacji urody i knuciu intryg. W starannie ufarbowanych włosach nie było ani śladu siwizny, a czarne oczy o kształcie migdałów osadzone były pod kruczymi brwiami zrosniętymi u nasady nosa. Pomalowane henną w misterne wzory dłonie i stopy oraz chmura perfum, duszących jak dym z nargili, dopełniały wizerunku wszechwładnej pani seraju.

Spojrzała na nas świdrującym wzrokiem spod ciężkich, umalowanych turkusowym cieniem powiek. Dwór wstrzymał oddech.

- Ile masz lat? Dwadzieścia, dwadzieścia pięć? – zapytała niespodziewanie, wyciągając w jego stronę koniec szpicruty.

- Trzysta – rzucił bezczelnie pod nosem spod czarnej maski.

- Mogłabym być twoją matką...

- Tak... Mogłaby pani, Madame. Z pewnością. – Miało to chyba wypaść niegrzecznie, jako zawołowana aluzja do jej wieku, ale zabrzmiało tylko gorzko.

- Nasser al-Din jest jeszcze dzieckiem, królem-dzieckiem... – powiedziała to bardziej do siebie, niż do nas. - Ty chyba nigdy nie byłeś dzieckiem...

- Chyba nie, Madame – odrzekł z takim jadem w głosie, że wszyscy popatrzyli po sobie przerażeni, czekając na reakcję chanum. Zmarszczyła lekko brwi.

- Nie przyjąłeś prezentu... – zaczęła głosem ociekającym trującą słodczą.

- Nie – warknął, a zabrzmiało to jak cięcie nożem.

- Nasser al-Din to głuptas, niepotrzebnie pozwoliłam, aby to on wybrał tę niewolnicę. No trudno – westchnęła – przynajmniej przekonaliśmy się oboje, że do niczego się nie nadawała. Nie umiała ani żyć, ani nawet umrzeć, nie sądzisz?

Nic nie odpowiedział, zmierzył ją tylko wzrokiem, który zmroził krew w żyłach całego dworu. Chanum za to uśmiechnęła się do siebie, wyraźnie zadowolona. Erik stał z rękami skrzyżowanymi na ramionach, w obszernym, czerwonym płaszczu magika narzuconym na prosty, czarny lniany strój, złożony z luźnych spodni i krótkiego kaftana do bioder, przewiązany w pasie czarną, jedwabną szarfą. Czarna maska na twarzy zdawała się tylko podkreślać blask jego oczu, które miały błyskawice. Chanum bawiła się szpicrutą.

- Jest mi gorąco – powiedziała nagle do stojącego obok eunucha z wystudiowaną nonszalancją. – Idę do łaźni. Życzę sobie, by nadworny magik mi towarzyszył, nie skończyłam z nim jeszcze rozmowy.

Służące wciągnęły głośno powietrze. Strażnicy popatrzyli po sobie zdezorientowani.

- Milczeć! – Lśniące oczy chanum zwięziły się w obrysowane antymonem szparki. – Kto się odezwie, każę wysmagać batem!

Powiodła wzrokiem po sali, jakby chciała się upewnić, że nikt nie ośmieli się rzucać na nią oskarżeń o łamanie etykiety. W seraju to chanum ustanawiała prawa i tylko ona ośmielała się czasem wprowadzać tu mężczyzn. Zwykle był to wykształcony w Europie lekarz, czasem jacyś sztukmistrze, którzy zabawiali ją i jej damy pokazami. Szeptana plotka łączyła dawniej królową z kilkoma notablami, ale w pałacu za takie plotki można było zarobić cios nożem lub kielich trucizny, wszyscy więc milczeli. Zresztą, młody szach i tak nie dałby wiary żadnym pogłoskom i raczej z całą surowością ukarał donosiciela, niż stawiał czoła władczej matce.

Mahd-e Olia odwróciła się lekko na obutej w ażurowy sandał pięcie.

- Ty, ty, ty i ty. – Wskazała niewolnice końcem szpicruty. – Do łaźni! Magik i daroga ze mną. Reszta precz!

Przeraziło mnie do szpiku kości, że na mnie również wskazała. Nie byłem w stanie przejrzeć tej kolejnej intrygi - jak się domyślałem, równie okrutnej, jak wszystkie poprzednie. Nigdy nie wchodziłem dalej niż do *al-makad* – przedsionka haremu, prowadzącego z wewnętrznego dziedzińca. Uważałem, że im dalej będę się trzymał od tego niebezpiecznego, ukrytego w półmroku świata, tym lepiej dla mnie i dla mojej rodziny. Przeszliśmy prowadzeni przez czarnoskórego eunucha w głąb ciemnym i wąskim korytarzem, aż do obszernego salonu. Chanum szła przed nami zamaszystym krokiem; nie odwróciła się ani razu, jakby w ogóle zapomniała o naszej obecności. Złote łańcuszki na jej szyi i przegubach dźwięczały cicho.

Wprowadzono nas do dużego, wysokiego pomieszczenia. Rozproszone światło wpadało przez otwory okienne, pozbawione szyb, za to osłonięte od zewnątrz kunsztownie rzeźbionymi drewnianymi kratami. Na wewnętrznych parapetach ustawione były duże, gliniane naczynia z wodą, która parując zapewniała nieco wilgoci w powietrzu. Z trzech stron pod ścianami znajdowały się szerokie marmurowe podwyższenia służące do siedzenia, pokryte bawełnianymi materacami obitymi wzorzystą tkaniną i obłożone kolorowymi poduszkami. Na podłodze niedbale rozrzucono dywany zdobione motywami przypominającymi liście lub krople – mnie zawsze ten ulubiony wzór mojej zmarłej żony kojarzył się ze łzami. W centralnym punkcie pokoju znajdowało się płytkie zagłębienie w posadzce wypełnione wodą, w której rozrzucone były płatki róż. Na niskich stoliczkach stały tace z kwiatami, owoce, nargile. Ściany ozdabiały iluzyjne malowidła przedstawiające zdobne zasłony, w pokoju stało też kilka rozkładanych parawanów w indyjskie wzory.

Chanum skierowała się prosto do drzwi znajdujących się w przeciwnej ścianie. Nagle odwróciła się do mnie i wycelowała we mnie koniec szpicruty.

- Nadir Chan – rzuciła na wpół rozbawiona, ale w jej oczach zobaczyłem groźbę – masz mi go pilnować, żeby czegoś tu nie zmajstrował. – Po czym dodała lodowato: - Odpowiadasz za niego życiem.

Następnie zniknęła za drzwiami. Zostaliśmy sami, jeśli nie liczyć milczącego eunucha, który nas tu przyprowadził. Zbyt przerażony, by stać, usiadłem niepewnie na skraju materaca

i starałem się jakoś uspokoić. Erik za to natychmiast zaczął obchodzić pokój jak tygrys w klatce, nie zważając ani na zdumione spojrzenie służącego, ani na moje wyciągnięte w niemym, błagalnym geście ręce. Wyglądał przez okna, trącał palcami misy z wodą, stukał obutą stopą w podesty materaców i z całkowitą pogardą dla elementarnych zasad dobrego wychowania skrobał paznokciem malowidła na ścianach. W końcu, po dokładnym obejrzeniu wszystkich zakamarków, stanął tam, skąd - jak sądzę - uznał, że najłatwiej mu będzie lustrować całe pomieszczenie, zaplótł dłonie i oparł na nich twarz w masce. Mijały kolejne męczące minuty oczekiwania, podczas których niemal odchodziłem od zmysłów w przeczuciu jakiejś nieuniknionej tragedii. Erik, odkąd już przestał krążyć po pokoju, stał nieruchomo jak myśliwy na czatach. Potężnie zbudowany czarny eunuch z bogato zdobionym sztyletem za pasem podpierał ścianę przy drzwiach.

Nie wiem, jak długo trwało nasze szarpające nerwy oczekiwanie, mnie wydawało się ono nie mieć końca. Wreszcie drzwi skrzypnęły i weszła ona. Na ten widok, tak niespodziewany, zerwałem się z siedzenia, a z ust wyrwał mi się zduszony okrzyk:

- Pairika...

Chanum pojawiła się spowita w zieloności i srebro, w luźnych szarawarach i narzuconej na nie półprzezroczystej koszuli z jedwabnego muślinu. Na biodrach zamotana była malachitowa w kolorze szarfa, której dłuższy koniec sunął po podłodze za królową jak ogon smoczycy. Jej pełne piersi były na wpół widoczne spod koszuli i haftowanej srebrnymi nićmi białej chusty na ramionach. Włosy miała rozpuszczone, jeszcze mokre od kąpieli; spływały ciężką, czarną falą na jej plecy. Pachniała odurzająco, różami i drewnem sandałowym.

Słyszając moje stłumione westchnienie, uśmiechnęła się zadowolona, aż przeszedł mnie zimny dreszcz. Jej obrysowane kholem oczy lśniły nienaturalnie, jakby wypaliła całe nargile haszysz. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że widzę nie żywą kobietę, ale Peri – demona w kobiecym ciele, córkę upadłych aniołów, piękną i złowrogą.

Erik stał nie poruszywszy się, ale oczy spod maski śledziły chanum z napiętą uwagą. Spostrzegłem, że podeszła parę kroków w jego stronę, pobrzękując jaspisowymi bransoletami wyciągnęła ku niemu dłoń umalowaną henną w magiczne znaki i wykonała w powietrzu gest, jakby chciała go dotknąć. Ledwo dostrzegalnie drgnął, jakby rozważał czy lepiej będzie odsunąć się, czy dalej trwać jak posąg bez ruchu. Maħd-e Olia parsknęła śmiechem, szybko podeszła do marmurowego siedziska, zrzuciła z nóg sandały, usadowiła się wygodnie po turecku na materacu oparta o poduszkę i klasnęła w dłonie. Zza drzwi pojawiła się służąca z alabastrowym słoiczkiem i gęstym grzebieniem, którym powoli i uważnie zaczęła rozczesywać włosy swojej pani.

Erik bardzo powoli - jakby starał się, aby jego zwolnione ruchy pozostały niezauważone - rozplótł palce, stanął mocniej na lekko rozstawionych nogach i skrzyżował ręce na ramionach.

Chanum przypatrywała się temu z wyrazem rozbawienia w półprzymkniętych oczach, poddając się jednocześnie łagodnej pieszczocie czeszącej ją niewolnicy.

- Powiedz – zaczęła wreszcie - czy uważasz, że jestem piękna?

Erik ledwo dosłyszalnie przełknął ślinę.

- Madame – powiedział bardzo łagodnie – mam dla pani cały szacunek należny matce szacha.

Znowu parsknęła śmiechem, ale jej twarz na moment stężała.

- Ten szacunek może cię drogo kosztować – powiedziała z wystudiowanym spokojem. – Okazujesz szacunek w sposób, który mnie obraża, a obrażasz mnie tak, że nie mogę się przemóc, żeby cię wreszcie przykładowie ukarać. Zaciekawiasz mnie, mój dziwny cudzoziemcze. Sprawiasz, że wciąż chcę się dowiedzieć, jaka będzie twoja kolejna sztuczka. No to zabawmy się dalej. Może teraz ja będę sułtanem Szachrijarem, a ty Szeherezadą? Nie przestawaj umilać mi czasu swoimi sztuczkami, swoimi opowieściami, może przedłużą ci życie... Bardzo lubię baśnie – dodała. – Czasami bawię się, układając sobie własne. Tylko, że moje baśnie są prawdziwe, z krwi i kości...

Tylko z krwi, pomyślałem. Krwi i bielejących później na pustyni kości twoich ofiar, autorko baśni...

Znowu klasnęła w dłonie i ponownie zza półprzymkniętych drzwi wyrzała głowa służącej.

- Dżamila – rzuciła chanum, nie patrząc nawet w tamtą stronę – przynieś kawy.

Po chwili dziewczyna wróciła z okrągłą, zdobioną tacą, na której stał parujący miedziany tygielek, dwie małe metalowe filiżanki wykonane w technice damaskinażu i niebiesko-biały talerz ze słodyczami. Nalała ciemny, pachnący kardamonem napar do filiżanek, ukloniła się lekko i bez słowa zniknęła za drzwiami.

Chanum sięgnęła prawą ręką do niskiego stoliczka, na którym służąca zostawiła tacę, skosztowała kawy i wyraźnie zadowolona rozkoszowała się jej smakiem. Potem sięgnęła po różowy, obsypany cukrowym pyłem kawałek rachattukum. Włożyła go sobie do ust, a następnie lekko postukała dłonią w materac obok siebie zachęcającym gestem.

Erik dalej stał jak wmurowany, tylko nieznacznie odchylił głowę do tyłu.

- Siadaj tu – powiedziała chanum z ustami sklejonymi lepką pralinką.

Ani drgnął. Przełknęła pospiesznie i zmarszczyła brwi.

- No siadaj tutaj! Królowa rozkazuje ci usiąść.

- Madame, jestem może magikiem, ale nie będę pani błaznem.

- Będiesz tym, czym powiem, że będziesz – warknęła patrząc na niego spod oka. - Będiesz robił to, co ci każę. Jak ci każę tańczyć, to będziesz tańczył; jak ci każę zabijać, to będziesz zabijał; a jak ci każę napić się ze mną kawy, to będziesz ją pił, do diabła!

Szczelniej zawiął się w obszerną pelerynę, podszedł do materaca i usiadł z nogami mocno opartymi na podłodze tak daleko od niej, jak tylko się dało. Wyciągnął swoją długą rękę w stronę stoliczka, wziął filiżankę z parującą kawą i przysunął do ust.

- Niezłe – powiedział, a ja stojąc w najdalszym kącie pokoju zastanawiałem się, czy ta mała bezczelność miała przywrócić mu poczucie, że panuje nad sytuacją.

Usta Maħd-e Olii rozszerzyły się w zagadkowym uśmiechu.

- Teraz rozkazuję, żebyś zabawił mnie rozmową.

- Czego chciałaby się pani dowiedzieć, Madame?

- Och... wszystkiego.

- Tego, jak wykonuję moje pokazy prestidigitatorskie?

- Nie, tego nie... Wyjaśnianie umniejsza... Wolę cię niezwykłego... – Znowu ten uśmiech Sfinksa, który sprawił, że zimny pot spłynął mi po plecach. – Opowiedz mi o sobie. Od jak dawna żyjesz z pokazywania sztuczek?

Zobaczyłem, że na to pytanie skulił się nieco w ramionach, ale zaraz otrząsnął się.

- Odkąd pamiętam – powiedział, nieudolnie starając się, żeby zabrzmiało to beztrąsko, ale w jego głosie słyħać było przyczajoną agresję. – Nigdy nie robiłem nic innego, całe moje życie to pokazywanie sztuczek ku uciechu gawiedzi.

- Występy przed szachem i przede mną to nie popisy dla wieśniaków. – Ściągnęła brwi.

- Nie, Madame – znów odzyskał oficjalny ton.

- Więć zawsze w podróży... Zawsze sam...

- Madame, cóż pani może o mnie wiedzieć...

Poruszyła się na poduszkach i nachyliła do niego, gestem nakazując służącej, aby przestała wcierać wonny olejek w jej włosy. Niewolnica oddaliła się z niskim ukłonem. Chanum patrzyła hardo, wyciągając wskazujący palec w stronę Erika.

- O, bardzo wiele, bardzo wiele, mój drogi. Wy, Europejczycy, myślicie o nas jak o dzikim ludzie z pustyni. Znamy was lepiej niż przypuszczacie. Czy to tak trudno sprowadzić sobie książki, wypytać w tych waszych żałosnych placówkach dyplomatycznych? Zapewniam cię, że nie minie sto, no może sto dwadzieścia lat, a nasze meczety staną w waszych stolicach. Wy wyruszaliście na swoje krucjaty opakowani w żelastwo, a potem zmykaliście jak psy, które ktoś przegonił. Naszej krucjaty nawet nie zauważycie, dopóki nie będzie za późno. – Obnażyła zęby w drwiącym uśmiechu. - Ale wy jesteście przecież tak pewni siebie, nie wiecie o nas nic, bo po co macie zaśmiecąć sobie pamięć wiedzą o barbarzyńcach. – Poprawiła się na materacu, niemal podnosząc się na kolana. - Cóż ty wiesz o Kserksesie, Dariuszu, Cyrusie, mój panie magiku? Cóż wiesz o Zaratustrze? Moi przodkowie budowali imperia w czasie, kiedy twoi nie umieli jeszcze zbudować prosto stojącej lepianki. Cóż ty nawet wiesz o Proroku i naszej świętej wierze? Wy, ludzie Zachodu, nie macie wiary. Czytałam waszego Platona, waszego Szekspira... Są jak szmer wiatru.

Patrzył na nią z napiętą uwagą. Jego postawa zdradzała wręcz pewien rodzaj podziwu, powiedziałbym nawet - fascynacji. Mierzyli się nawzajem wzrokiem jak skorpion i kobra. W czerwonym płaszczu Erik wyglądał jak wielki ptak ze złożonymi skrzydłami, jak ptak *rukħ* z dawnych perskich legend – olbrzym zdolny bez wysiłku porwać i unieść słońca. Maħd-e Olii wydawała się przy nim mała, ale mówiła z pasją, unosząc się lekko na piętach, balansując ciałem jak wąż gotowy do skoku. W mieniącej się tkaninie lśniła jak skarabeusz, jak dżinn – demon powstały z czystego ognia bez dymu. Patrzyłem niezdolny oderwać od nich wzroku,

zastanawiając się, czy na moje szczęście zapomnieli o mojej obecności w pokoju. Wydawali mi się jak potężne, nieokielznane siły przyrody, gotowe w każdej chwili zgnieść marnego człowieczka, który ośmielił się im przyglądać.

Usta Erika wygięły się w nie do końca zasłoniętym przez maskę uśmiechu, nie wiem - zamyślnym czy pogardliwym. Bardzo spokojnie i cicho zaczął recytować po persku, a jego głos brzmiał jak najśłodsza muzyka.

*Nikt nie zna końca, nikt nie zna początku doli,
z którejśmy przyszli, do której idziemy;
i nikt ani słowa prawdy o tym nie powiedział,
skądśmy się tutaj wzięli, dokąd odejść trzeba...*

Chanum, tak samo jak przed chwilą płonęła zapałem, tak nagle osunęła się ciężko na poduszki i patrzyła na niego rozszerzonymi oczami.

- Omar Chajjam... *Rubajjaty*... – powiedziała, a zabrzmiało to jak westchnienie. – Zaskakujesz mnie, Eriku... Kim ty jesteś?

Zamilkł i patrzył jej prosto w oczy tak, jak chyba nikt na dworze nie ośmieliłby się spoglądać na królową. W jednej chwili było tak, jakby stała się jeszcze mniejsza, młodsza, jakby wytrącił jej z ręki broń i teraz ona znalazła się na jego łasce. Prawie się nie poruszył, wciąż siedział mocno oparty o podłogę, teraz tylko lekko odwrócił do niej głowę. Zrobiło mi się zimno, potem gorąco, potem znowu zimno. Ten moment wystarczył, by Mahd-e Olia wyprostowała plecy, a jej twarz przybrała szydery wyraz.

- Jesteś dość potworny, żeby być cudotwórcą... Okropne masz te niebieskie oczy. Są jak puste oczodoły w czaszce, przez którą prześwieca niebo. I te włosy, zbyt jasne, stare za młodu. Wiesz co, nie lubię brzmienia twego głosu, jest zbyt łagodne. Istota taka jak ty powinna nie mówić, ale zgrzytać. A ty śpiewasz harmonijnie i tkliwie. To jedyna rzecz, która mi się w tobie nie podoba; wszystko inne jest wstrząsające, wszystko inne jest wspaniałe. W Indiach byłbyś bogiem.

Przeniosła ciężar ciała do przodu, na ręce i posuwała się w jego stronę powoli, a ozdoby jej stroju brzęczały jak metaliczne łuski jakiegoś potwora.

- Azi Dahak – szepnęła przeciągając sylaby – wężokształtny król demonów... Pierwszego dnia, kiedy cię zobaczyłam, pomyślałam: tak, to on. To jest monstrum z moich snów. I będziesz mój. Pójdź w moje objęcia.

Nie wiem, czy zdołam opisać ogrom przerażenia, jakie czułem patrząc na tę scenę. Przed oczami przesunęła mi się czerwona luna, jakby cały świat spłynął krwią. Zacząłem się zastanawiać, kto pierwszy rozpocznie teraz rozlew krwi i które, kiedy już skończą mordować się nawzajem, zabije mnie, jako niewygodnego świadka tej kaźni. Starąłem się zniknąć, wtopić w tło ściany. Trzęsąc się na całym ciele, spojrzałem z ukosa na czarnego eunucha, który wciąż stał jak posąg przy drzwiach.

Chanum zbliżała się do Erika jak dzika bestia, powoli pokonując na rękach i kolanach dzielącą ich przestrzeń materaca. Nie przestawała mówić, a jej słowa brzmiały jak delirium obłąkanego.

- Kochanek upokorzony, wstrętny, wystawiony na pośmiewisko u pręgiarza, który zwał teatrem, kochanek taki ma dla mnie przedziwny smak. Smak owocu z dna przepaści. Spróbować jabłka nie z raju, ale z piekła, oto co mnie kusi – czuję ten głód, czuję to pragnienie, jestem Ewą otchłani. Ty jesteś demonem, nawet jeśli sam o tym nie wiesz; jesteś wcieleniem ogromnego śmiechu piekła.

Patrzyłem w niemym przerażeniu na Erika, który nie odrywał wzroku od wykrzywionej w potwornym grymasie twarzy chanum. Mimo płaszcza, widziałem potworne napięcie jego wszystkich mięśni, przenoszące się z ramion na ręce, aż do dłoni zaciśniętych kurczowo na skraju materaca. Jego klatka piersiowa unosiła się jakimś pierwotnym, dzikim rytmem, ale wydobywający się z jego półprzymkniętych ust ciężki oddech zdawał się tylko wzmacniać ogień płonący w Mahd-e Olii jak w piecu hutniczym. Zdjęła z ramion srebrną chustę i trzymała ją w obu rękach jak stryczek.

Lewa ręka Erika wysunęła się w jej kierunku, palce sztywno wyprostowane, jakby chciał ją odepchnąć. Nie dotknął jej, ale potężna moc w jego dłoni byłaby chyba w stanie odsunąć napór Scylli i Charybdy. Otworzył usta, jakby zamierzał coś powiedzieć, ale zanim zdążył wymówić choć słowo, chanum przerwała mu ostro:

- Milcz! Chcę patrzeć na ciebie. Dzielili nas odległość nieprzebyta, ja byłam na Syriuszu, ty na Alioth. I przebyłeś tę drogę nie do wymierzenia i jesteś tutaj. Nie mów nic. Weź mnie.

Oszalała, przebiegło mi przez głowę.

- Madame... – To słowo zawisło na chwilę w powietrzu, delikatne jak kwiat, jak motyl. Trwało przez moment, a potem motyl zniknął w dziobie drapieżnego krogulca.

- Jestem królową, zachowuję się jak królowa – wycodziła chanum przez zęby. - Jeśli zechcę, będziesz biegał nago dookoła Gulistanu, pod batogiem mojego eunucha. Czy nie tak postępowały wasze europejskie królowe z buntownikami?

Jego głęboki wdech był słyszalny w całym pokoju.

- Nie jestem nowym łądem, który może pani podbić, Madame. Nie jest mi pani w stanie nic zrobić. Nie boję się śmierci.

Zaśmiała się sztucznie.

- A więc może inny argument cię przekona? Co powiesz na propozycję, aby Hassan obciął ucho naszemu drogiemu darodze? Zdejmij tę maskę.

Skinęła lekko ręką, a ja poczułem na szyi dłoń czarnego eunucha, a przy policzku chłodny dotyk noża. Teraz mnie zabije, pomyślałem, zabije mnie niezależnie od wszystkiego. Zacząłem się modlić: *Nie ma boga nad Allaha, a Muhammad jest Jego Prorokiem...*

Jeśli nie nóż Hassana, te sekundy oczekiwania na nieuniknione były w stanie same doprowadzić mnie do śmierci.

- Ściągaj tę maskę, powiedziałam. Już! – To było jak świnięcie bata. – Albo sama ci ją zdejmę...

Niemal nie ośmielając się otworzyć oczu, zobaczyłem jak jej uzbrojone w chustę ręce zbliżają się do jego szyi, jak oplata cienki materiał wokół jego głowy, przyciąga go do siebie niby więźnia na powrozie i sięga do jego twarzy. Nie zrobił nic, by się obronić, kiedy zdecydowanym gestem zdjęła mu maskę i rzuciła ją na podłogę. Oczy chanum rozszerzyły się jeszcze bardziej, a usta zacisnęły w wyrazie tak potwornej żądz, że odwróciłem wzrok. Jej piersi zafalowały pod ledwie skrywającą je koszulą.

- Widzisz, kształtując marzenie, prowokujemy rzeczywistość. Wszechmocne mroki są groźne, nie wolno ich wzywać bezkarnie. Dają nam to, czego pożądamy – mówiła nie odrywając oczu od straszego widoku jego twarzy.

Przez moją głowę z szybkością błyskawicy przemykał chaotyczny pęd myśli. Mahd-e Olia, Wyniosła Kołyska, matka szachinszacha i najpotężniejsza kobieta w państwie, na moich oczach chciała oddać się człowiekowi znikąd, niewiernemu, jarmarcznemu magikowi o potwornie zniekształconej twarzy – to było więcej, niż byłem w stanie znieść. Dla wszystkich wilczyca, dla niego suka – pomyślałem, czując wstyd, że nawet nie mówiąc tego głośno, bluźnię przeciw całemu znanemu mi porządkowi świata.

Sięgnęła do zapięcia jego płaszcza, zdecydowanym ruchem położyła mu obie dłonie na ramionach i odrzuciła pelerynę w tył. Jej nieduża postać spowita w muśliny zdawała się migotać wokół niego jak szmaragdowy płomień. A on siedział sztywno jak czarny, skupiony cień, śledząc jej każdy ruch; gotowy do ataku jak czarny skorpion, czekający tylko na odpowiedni moment. Siedział tak, że widziałem go nieco od tyłu, nie mogłem więc zobaczyć wyrazu jego twarzy.

Doskonale natomiast widziałem twarz chanum, modląc się z całej duszy, żeby ona na mnie nie spojrzała; bałem się, że jej wzrok spali mnie na popiół, jak wzrok bazyliuszka. Spojrzała, oczywiście. Odsunęła się na chwilę od Erika i przeszła mnie na wskroś piorunującym spojrzeniem. Następnie wystudiowanym gestem wyciągnęła dłoń i zgięła wskazujący palec. Hassan popchnął mnie przed sobą w stronę materaca, na którym siedzieli; padłem na kolana przed marmurowym podestem. Chanum wyciągnęła rękę w stronę eunucha, a ten położył na niej zdobiony szlachetnymi kamieniami sztylet. Bawiąc się nim, niby od niechcenia, znowu podniosła oczy na twarz Erika i skierowała ostrze w jego stronę.

- I co, mój Aniele Zagłady, dalej nie boisz się śmierci?

Gdyby wzrok mógł zabijać, pałac Gulistanu zawałiłby się nam na głowy.

- A ty, Nadir? Czy ty też chciałbyś umrzeć? – Nie czekała nawet na odpowiedź, zresztą nie byłem w stanie wykrztusić nic z zaschniętego gardła. Parsknęła śmiechem. - Chciałbyś zobaczyć szaloną kobietę? Oto nią jestem, możesz zacząć się bać.

Potraktowałem tę propozycję jak najbardziej poważnie. Kiedy przystawiła mi ostrze za uchem, zamknąłem z całej siły oczy i powierzyłem moją duszę opiece Allaha. Nagle usłyszałem jej głos, ale jakiś inny, zmieniony.

- Mmmm... – wydała z siebie przeciągły dźwięk jak zadowolona kotka. Otworzyłem ostrożnie oczy i zobaczyłem jego rękę zaciśniętą na jej przegubie i sztylet leżący obok na materacu.

- Hassan – rzuciła chanum przez ramię – wynoście mi się stąd!

Czarny służący wyprostował się szybko, podniósł mnie jak szmacianą lalkę z podłogi i popchnął przed sobą do drzwi. Na mgnienie oka odwróciłem wzrok i spojrzałem na Erika. Patrzył na chanum jak ktoś, kto patrzy prosto w płomienie stosu.

- Zabiję cię... – wycedził przez zaciśnięte zęby i rzeczywiście, zabrzmiało to bardziej jak szczęk broni, niż ludzki głos.

- Nie liczę na nic mniej... – Jej usta rozszerzyły się w diabolicznym uśmiechu.

Kiedy znaleźliśmy się za drzwiami salonu, Hassan przycisnął moje usta dłonią i popchnął mnie lekko w stronę bocznych drzwi wychodzących z korytarza na kolejny ustronny wewnętrzny dziedziniec haremu. Ruchem głowy wskazał mi miejsce przy osłoniętym drewnianą kratownicą oknie, obok którego rósł okazałych rozmiarów krzew jaśminowca. Jego ciemna, nalana twarz rozjaśniła się szyderczym uśmiechem. Oburzony tą bezczelnością, z początku nie wiedziałem, jak zareagować. Jednak, kiedy już raz zostanie się szpiegiem, ciekawość bierze czasami górę nad przyzwoitością. W duszy usprawiedliwiałem się, że może będę w stanie mu jakoś pomóc, coś zrobić – ale to nieprawda. Ja chciałem zobaczyć, byłem tylko policjantem, tak jak żałosny, wytrzebiony Hassan był tylko małym świntuchem. Pod ścianą budynku zauważyłem na wpół rozsypującą się starożytną płaskorzeźbę. Pochodziła z Grecji bądź z Egiptu i przedstawiała Sfinksa pożerającego Amora. Patrzyłem z uczuciem ucisku w gardle, jak skrzydełka rajskiej istotki krwawią miażdżone w okrutnej i uśmiechniętej paszczy. Nie mogłem nic zrobić, mogłem tylko bezradnie patrzeć.

Z nowego miejsca za krzakiem jaśminowca widać było wszystko jak na dłoni, choć pod nieco innym kątem. Nie widziałem już niehumanoidalnie wykrzywionej twarzy chanum, za to mogłem przyglądać się dokładnie twarzy Erika ze wszystkimi jej potwornościami. Od czasu spotkania na jarmarku w Nowgorodzie widziałem go już parę razy bez maski i właściwie z czasem jego zdeformowane oblicze budziło we mnie więcej żalu i litości, niż przerażenia. Przerażające dopiero było spróbować sobie wyobrazić co to dla niego - który tak kochał piękno w każdej postaci - znaczyło żyć na co dzień z taką twarzą. Teraz dodałem do moich ponurych myśli kolejne przerażenie – najczystszy szok wywołany zachowaniem tej kobiety, która, według mojej oceny, całkowicie straciła rozum.

Siedziała, a właściwie pólleżała przed nim na poduszkach, jak mara z głębin piekieł. Jak Akatash – demon perwersji; tym bardziej straszna, że tak piękna. Za to patrząc na Erika,

mimo całej jego brzydoty, nie mogłem odpędzić myśli o wielkich bohaterach, wojownikach z legend, które opowiadano mi, gdy byłem dzieckiem. Arash – łucznik i łowca, Jamshid – ludzki władca aniołów i demonów, Zal – mityczny wojownik o jasnych włosach. Wszystkie te postacie tłoczyły się teraz w moich myślach.

- Jestem boginią, jestem panią świata – usłyszałem głos chanum. – Nereida Amfitryta uległa cyklopowi. Wróżka Urgela oddała się Bugryksowi, pół-ptakowi, pół-mężczyźnie, o ośmiu dłoniach, których palce były połączone pletwą. Maria Stuart miała Rizzia. Trzy piękne, trzy potwory. Jestem większa niż one, bo ty jesteś gorszy niż oni. Zostaliśmy dla siebie stworzeni. Jestem w mojej duszy tym samym monstrum, którym ty jesteś na twarzy. To mój kaprys? Być może, ale czymże jest huragan? Kaprysem. Oboje jesteśmy z nocy, ty z oblicza, ja z umysłu. Ty mnie odtwarzasz. Przyszedłeś – i oto widzę moją własną duszę. Nie znałam jej, jest zadziwiająca. Zbliżasz się i sprawiasz, że hydra wypęła z bogini. Objawiasz mi moją prawdziwą naturę, pozwalasz mi odkryć samą siebie. Spójrz, jak bardzo jestem do ciebie podobna. Patrz we mnie jak w zwierciadło. Twoja twarz to moja dusza, nie wiedziałam, że jestem tak przerażająca. A więc i ja jestem potworem!

Patrzył na nią jak zahipnotyzowany. Zobaczyłem, że przycisnął ręce do piersi a ona przysunęła się, chwyciła jego twarz w dłonie i mocno przyciągnęła do swojej półnagiej kibici. Wzdrygnął się i oparł rękami o materac, z palcami rozcapierzonymi jak szpony ptaka, ale nie oderwał twarzy od jej piersi. Uniosła się lekko na piętach, zdarła z bioder szarfę, która zastygła na chwilę w powietrzu jak latający wąż, zanim miękko opadła na podłogę. Szeptala mu do ucha, a jej głos był jak syk kobry:

- Ty nie jesteś brzydki – ty jesteś potworny. Brzydota jest mała, potworność – wielka. Brzydota to grymas diabła za plecami piękna, a potworność jest odwrotnością wielkości. To jej druga strona. Olimp ma dwa zbocza. Jedno zbocze, to które jest w świetle, wydało Apollina; drugie, to które jest w mroku, wydało Polifema. Ty jesteś Tytanem. W lesie byłbyś Behemotem, w oceanie Lewiatanem. Jesteś doskonały. Potworność twoja jest jak grom, twoja twarz została zepsuta uderzeniem pioruna. Zmiażdżyła ją w gniewie olbrzymia pięść z płomienia; stworzyła cię, zgmiotła i znikła. Piekło to ognisko kaźni, w którym rozgrzewa się do czerwoności żelazo nazywane Losem – ty zostałeś tym żelazem naznaczony. Pokochać ciebie to zrozumieć wielkość. Też mi wysiłek kochać Apollina! Śniłam o tobie całe noce, całe noce...

Pociągnęła go za sobą na poduszki. Jego czarna postać zdawała się ją przygniatać, przesłaniać. Wyciągnął rękę i dotknął jej twarzy, od czoła, przez nos, usta, aż do szyi. Wyprężyła całe ciało wzdychając z rozkoszy. Prawą ręką rozdarła cienką koszulę na piersi i poprowadziła jego palce. Uniosła się na łokciach, chwyciła koniec jedwabnej szarfki, którą był przewiązany w pasie i rozwiązała węzeł. Sięgnęła dłonią pod luźną koszulę, do żywego ciała. Z jego ust wyrwało się zduszone westchnienie.

I wtedy stało się coś, co już do reszty sprawiło, że zakwestionowałem obiektywność moich zmysłów. Zobaczyłem, jak lewa dłoń Erika powoli, niemal niedostrzegalnie, przesuwa

się po materacu w stronę leżącego na jego skraju sztyletu. Chanum niczego nie spostrzegła w szale namiętności, oplatając go ramionami ruchliwymi jak sploty węża. Widziałem, jak jego palce jeden po drugim zaciskają się na rękojeści, a kiedy już trzymał broń pewnym chwytem, jak ręka wraca, równie powoli i ostrożnie. Kiedy pozwolił jej zauważyć w swoim ręku nóż, w pierwszej chwili chyba nie zrozumiała, co się dzieje. Trzymał go tuż przy jej szyi, tak, że musiała rozluźnić uścisk. Lekko popchnął ją na materac, wciąż z ostrzem noża wycelowanym w jej stronę. Patrzyła na niego dziko, ciężko dysząc, ale bała się poruszyć. Zbliżał się do niej jak cień, jak duch. Przysunął swoją twarz do jej twarzy patrząc jej prosto w oczy; głośno wciągnęła powietrze. Usłyszałem pojedyncze uderzenie i dźwięk pękającego materiału. Jednym, potężnym ciosem wbił nóż w poduszkę tuż obok jej głowy i rozdarł ją przez całą długość. Chanum krzyknęła - ze strachu, z rozkoszy? Tego się chyba nigdy nie dowiem.

Wszystko, co zaszło potem, nie trwało nawet pół minuty. Kolejnym, bezbłędnym ruchem wyszarpnął sztylet, nie wypuszczając go z ręki skoczył na podłogę, zarzucił sobie na ramię czerwoną pelerynę, w kilku krokach pokonał cały pokój, silnym kopniakiem otworzył drzwi i zniknął w korytarzu.

- Samandar - szepnąłem do siebie, sam nie wiem dlaczego. – Feniks.

Stojąc przy oknie, przez chwilę próbowałem uspokoić oddech, następnie - gdy upewniłem się, że nikt mnie nie zobaczy - uciekłem czym prędzej z seraju.

Kiedy dotarłem do jego apartamentu, drzwi nie były zamknięte. Zapukałem cicho i wszedłem. Stał przy oknie tyłem do mnie i właśnie kończył zawiązywać tasiemki od maski, tym razem jasnego koloru, którą wyjął z drewnianej skrzynki ozdobionej emaliowanym motywem z rosyjskich bajek.

- Idź stąd, Nadir – rzucił, nawet nie sprawdzając, czy to rzeczywiście ja.

- Przepraszam cię, Eriku – zacząłem słabo. – Już sobie idę. Chciałem ci tylko podziękować. W końcu uratowałeś mi dziś ucho, a może i życie...

- Taaak... – Jego głos nagle wydał mi się lekko rozbawiony. – Pomyślałem sobie, po co szachowi szpieg z jednym uchem?

- Dziękuję...

- Dobrze już, dobrze. A teraz, z łaski swojej, idź stąd. Chcę być sam.

Ruszyłem się o krok do drzwi, ale zatrzymałem się.

- Wiesz... Nie chciałbym ci przeszkadzać, ale... Myślę, że czasami dobrze jest móc pogadać... Z przyjacielem...

Westchnął, ale nie odwrócił się od okna. W pokoju było prawie zupełnie ciemno, tylko z dziedzińca wpadał nikły blask ogrodowych lampionów.

- Słuchaj, może zawołam służbę, niech przyniosą kawę?

Odwrócił się do mnie gwałtownie.

- Wiesz, Nadir, chyba nie mam już dziś ochoty na więcej kawy.

Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę ze swojej głupoty. Chciałem się rzucić go przepraszać, ale podniósł ręce do góry w na wpół żartobliwym geście poddania. Usiadłem na skórzanej kanapie, nie powstrzymywał mnie.

- „*Piektło nie zna furii większej niż odrzucona kobieta...*”, to chyba Szekspir – powiedziałem zagajająco.

- Nie Szekspir, ale niech ci będzie. – Westchnął i wzruszył ramionami. – Biedna kobieta, nawdychała się któregoś z tych waszych świństw.

- Biedna kobieta?! Czyś ty oszalał? Ona mogła cię zabić! - Znowu wzruszył ramionami. - Słuchaj, musimy natychmiast wyjechać z Teheranu. Może na prowincji chanum nie naśle na nas zabójców, chociaż prawdę mówiąc, sam w to nie wierzę.

- Niezbyt się boję płatnych zabójców... I sądzą, że chanum o tym wie. Nie dostaną mnie żywego. Wiesz, co robi skorpion, kiedy otoczysz go kręgiem ognia? Wbija sobie swój własny kolec jadowy w ciało.

- Erik, nawet nie mów w ten sposób!

- Boisz się, że popełnię samobójstwo? Nie bądź dziecinny, Nadir. Gdybym naprawdę chciał, zabiłbym się już z tysiąc razy. To dziwne, ale w końcu zawsze zwycięża ciekawość; chcesz wiedzieć, co przyniesie następny dzień, nawet jeśli nie jest to nic dobrego. Po prostu mówię ci, że nie boję się umrzeć i że kiedy wreszcie kostucha zdecyduje się po mnie zgłosić, nie będzie niemile widzianym gościem...

- Na Allaha, Eriku! Ale dlaczego ty ją tak potraktowałeś, oczywiście biorąc pod uwagę wszystkie te niespodziewane okoliczności - zawołałem zduszonym głosem, tracąc panowanie nad sobą. – Dlaczego jej nie uległeś, do diabła?!

- A skąd wiesz, że nie uległem, ty szpiclu? Podglądałeś mnie, oczywiście. Nie masz za grosz wstydu, ty policyjny psie.

Dobrze, że było ciemno, bo zarumieniłem się po koniuszki uratowanych przez niego uszu. Uśmiechnął się nieznacznie.

- Nie wykorzystuję dam zamroczonych haszyszem.

- Czy ty naprawdę straciłeś rozum? Ta kobieta, ta królowa - dawała ci się na talerzu, człowieku! Poniżyła się dla ciebie. Przecież jej pragnąłeś, to było oczywiste, sam widziałem. Więc dlaczego?? – Rozłożyłem pytająco ręce.

Sięgnął ręką do biurka, na którym leżała jakaś oprawiona w skórę książka.

- Wiesz co, Nadir, nie sądziłem, że akurat tobie trzeba to wyjaśnić. Ale dobrze, skoro muszę. – Odruchowo wzruszył ramionami. - Masz, czytaj, tu gdzie zaznaczone.

Wyciągnął do mnie rękę, w której trzymał stary wolumin. Poznałem tę książkę, rzecz jasna – *Rubajjaty* Omara Chajjama, największe arcydzieło perskiej poezji, zbiór czterowersowych utworów dwunastowiecznego poety, matematyka, filozofa, astronoma. Książka była dość zniszczona i wyglądała na często używaną. Pomiedzy kartki wsunięty był zasuszony płatek białej róży. Starając się złapać choć kilka promieni światła, żeby widzieć tekst, zacząłem czytać:

*Bochenek chleba w cieniu drzewa
Dzbanek wina, tom wierszy – i Ty
Przy mnie, śpiewająca w dzikich ostępach
I dzikie ostępy zmieniają się w raj...*

Słuchał z napięciem mojej niezbyt artystycznej recytacji, a ja nie miałem pojęcia, o co mu chodzi. Odłożyłem tomik na niski stolczyk i patrzyłem na niego pytająco, jak uczeń. Nawet nie westchnął, dalej stał nieruchomo, całkowicie zatopiony w myślach, które dla mnie były niedostępne.

- Widzisz... Chanum nie pragnęła mnie, cokolwiek sobie na ten temat pomyślałaś. Ona pragnęła potwora. Ona zobaczyła we mnie tego potwora, jak odbicie swojej duszy. I wiesz, miała rację, przy niej stałem się potworem. Ona naprawdę miała rację, kiedy powiedziała, że bym przejrzał się w niej jak w lustrze. Z tym, że ja nie bardzo lubię patrzeć w lustro. To nieszczęśliwa, sfrustrowana kobieta, Nadir, zamknięta w więzieniu przez te wasze nieludzkie obyczaje. Ona żyje w luksusowej klatce, od wielu lat. Jak możesz oczekiwać, że w takich warunkach nie obudzi się w niej bestia, zwłaszcza, gdy za pomocą narkotyku może sprawić, by te wszystkie bariery na chwilę zniknęły? Ona się dusi w tym seraju i cała władza, którą okazuje, to tylko rozpaczliwe wołanie o pomoc. Ona chciała swojego demona, swojego węzowego króla. Ona pragnęła swojego snu, Nadir. Nie mnie.

Siedziałem całkiem oniemiały; takiej odpowiedzi nigdy bym się po nim nie spodziewał.

- Aaa... jakie ty masz sny, Eriku...? – zapytałem słabym głosem.

- Ja? – Wzruszył ramionami, szybko wypuścił powietrze. Ale po chwili milczenia powiedział bardzo cicho: - Mam takie same sny, jak wszyscy. Chociaż nie... Moje sny układają się w niekończące się ciągi, w sekwencje; są w nich pałace, których nigdy nie zbudowano; słyszę w nich muzykę, której nigdy nie napisano... Moje sny, Nadir...? Są tak piękne, że stają się koszmarami, bo wiem, że w końcu muszę się z nich obudzić. *I dzikie ostępy zmieniają się w raj... W raj, Nadir. Tam nie ma nic – nic... i wszystko. Ona, przy mnie, śpiewająca...*

Siedziałem osłupiały, nigdy nie widziałem go w takim stanie. Nigdy nie opowiadał mi o sobie, nasze kontakty ograniczały się do codziennych spraw; chociaż wiedziałem, że mogę na nim polegać, dotąd nie było między nami takich zwierzeń. I nagle słowa płynęły z niego jak rzeka, która przerwała tamę. Nie rozumiałem nic, albo prawie nic z tego, co on mówił, ale czułem, że jeśli go tylko wysłucham, przyniesie mu to jakąś ulgę.

- Ona, moja dusza, moje życie, Nadir... Nigdy nie widzę jej w tych snach, ale słyszę ją, czuję jej obecność, czuję jej dotyk, widzę tę delikatną poświatę, jak nów księżyca. Wiem, że to tylko moje wyobrażenia, że ona nie istnieje. Ale wierzę w nią, wierzę w mojego anioła.

- Myślałem, że ty nie wierzysz w Boga...

- Nie wiem już sam, w co wierzę, Nadir. Może nie trzeba wierzyć w Boga, żeby wierzyć w Miłość? Bo ona jest Miłością, samą Miłością. Ona daje mi siłę, podtrzymuje mnie. To nic, że ona nie istnieje - jeśli mam duszę, moja dusza należy do niej, tylko po to, żeby i ona istniała. Moja nieśmiertelna, nieistniejąca ukochana... Czysta jak roślina... Wierniejsza niż własne ciało... Ziemia rodzi miliony ludzi, ale ona się nie urodziła. Nie ma nawet ciszy oczekującej na jej głos. Nawet przestrzeni oczekującej na cień... poruszenia się... jej ręki... Idź już, Nadir, idź, proszę...

Wstałem, a zanim wyszedłem, położyłem mu przez chwilę rękę na ramieniu. Nie stracił jej, lekko nakrył ją swoją dłonią. Czułem, że płakał. Poszedłem do swojego apartamentu i rozszlochałem się tak, jak nigdy od śmierci Rukiji.